

## CAMERA OBSCURA. REMANENT ZALEGŁOŚCI

Kolaz Wisława Szymborska



W przeglądzie prasy niemieckiej podpisanym przez Adama Krzemińskiego („Twórczość” 2012, nr 9, s. 137) można przeczytać, że w archiwum krytyka H.E. Holthusena zachował się „tekst Theodora W. Adorno, którego w latach sześćdziesiątych studenci atakowali za to, że w III Rzeszy chwalił poezję szefa Hitlerjugend, Baldura von Schiracha”. Jakże to możliwe? Adorno ani przez chwilę nie przebywał w III Rzeszy; wyjechał z Niemiec. Zapewne ktoś coś tu pokręcił – chodzi o pochwałę ze strony nie Adorno, lecz Holthusena. Ale że nikt w redakcji nie zwrócił na to uwagi!

W rocznicowym dodatku „Tygodnika Powszechnego” (2012, nr 40) zatytułowanym *Pożytki z czytania Prusa* Jerzy Sosnowski upublicznił swoje wspomnienie związane z *Lalką*. A związek ten polega na tym, że chcąc w czasie pobytu w Paryżu „odbyć na wzór Wokulskiego lot balonem na uwięzi, w rozmowie z bileterem używał słowa »viol« (gwałt) zamiast »vol« (lot)”. Godny uwagi jest taki pożytek z czytania Prusa.

Piotr Skwieceński („Rzeczpospolita” z 1 x 2012), polemizując z Łukaszem Adamskim, dowodzi, że świętowanie 400. rocznicy zwycięstwa pod Kłuszynem nie oznaczałoby braku szacunku czy lekceważącego traktowania Rosjan. Nie przejmuje się tym, że bitwa była epizodem w wojnie ze strony polskiej napastniczej i okupacyjnej. Stwierdzenie

takie jest dalekie od tego, co insynuuje Skwieceński – od „gwałtownego potępiania własnych przodków za to, że postępowali tak jak w ich epoce było przyjęte”. Nie gloryfikować to nie znaczy potępiać. Zadziwia przy tym pytanie Skwieceńskiego – co świętować. Jeśli nie Kłuszyn, to tylko dziewiętnastowieczne powstania? Każdy rozgarnięty gimnazjalista odpowiedziałby, że przecież świętuje się także rocznicę bitwy pod Grunwaldem, Konstytucji 3 maja, 11 listopada, bitwy warszawskiej. A jeśli to za mało, to można przecież dodać tu inne wydarzenia, które w odróżnieniu od Kłuszyna weszły do historycznego imaginarium Polaków, a nie są tak jak on kontrowersyjne – choćby Unię Lubelską, obronę Częstochowy, wiktoryę wiedeńską czy wymarsz pierwszej kadrówki z Oleandrów. Rzeczywistość dystansuje zresztą postulaty Skwieceńskiego. Z artykułu Michała Pawlickiego („Uważam Rze” z 15–21 x 2012) można się dowiedzieć, że powstał już scenariusz filmu fabularnego pt. *Hold carów Szujskich*. I Pawlicki ma nadzieję, że niedługo zostanie zrealizowany. Ciekaw jestem, co Pawlicki powiedziałby np. o filmie rosyjskim *Zwycięstwo oręża rosyjskiego pod Maciejowicami*.

Prof. Michał Wojciechowski („Plus Minus” z 29–30 ix 2012) twierdzi, że w „Polsce najbardziej zaciekleymi antysemitami byli wolnomyśliciele” i jako przykład podaje Andrzeja Niemojewskiego. Trudno byłoby jednak wskazać jakiegoś innego wolnomyśliciela, który byłby antysemitą. Nie był nim przecież Ludwik Krzywicki, Jan Władysław Dawid, Baudouin de Courtenay, Stefan Czarnowski, Władysław Witwicki, Tadeusz Kotarbiński, Andrzej Nowicki. Poglądy Niemojewskiego porównuje Wojciechowski do poglądów Alfreda Rosenberga. Jakoś nie przyszły mu do głowy bliższe analogie – np. poglądy ks. Stanisława Trzeciaka.

Jerzy Szczęsny i Janusz Kapusta w rubryce „Pion i poziom” („Arcana” 2012, nr 4/5) ubolewają, że prof. Ryszard Legutko nazwał wrocławskich uczniów, którzy domagali się zdjęcia szkolnego krzyża, tylko „rozwydrzonymi smarkaczami”, bo należało użyć mocniejszych wyrazów (sami nazywają ich „młodocianymi barbarzyńcami” i „wrocławskimi gówniarzami”). Orzeczenie sędziego, który nazwał to określenie „nieuzasadnionym i niestosownym”, określają jako przejaw „rodzinnego kretyzmu”. Jak widać, pion to fundamentalistyczny, bo nietolerujący innych niż własne poglądy, a poziom denny, bo chamski wo-

bec sędziego, a urągający elementarnym zasadom postępowania z młodzieżą.

W tymże numerze „Arcan” Elżbieta Morawiec o Adamie Rotfeldzie (s. 207): „Żyd polskiego pochodzenia, uratowany przez Polaków”. Wszystko tu zostało postawione na głowie: Rotfeld nie ma pochodzenia polskiego, a poczuwa się do polskiej narodowości. A uratowali go nie Polacy, lecz zakonnicy grecko-katoliccy, więc Ukraińcy.

Małgorzata Niemczyńska pisze w „Gazecie Wyborczej” (z 12 X 2012), że słowo „odcinek” oznaczało w języku francuskim dolną część gazety, odciętą od reszty tekstu linią. Nic podobnego – w języku francuskim odpowiednik „odcinka” to wyraz „tranche”, który z prasą nie ma nic wspólnego. Ową dolną część gazety nazywano we Francji „feuilleton”. Odcinek jest polskim neosemantyzmem, który pojawił się później.

Prof. Piotr Gliński („Gazeta Wyborcza” z 12 X 2012) mówi: „Katastrofa smoleńska jest wciąż niewyjaśniona, więc wszelkie hipotezy są równoprawne”. Wszelkie równoprawne? A przecież nie ma równouprawnienia między hipotezą lepiej i gorzej uzasadnioną.

Jerzy Jachowicz napisał w „Uważam Rze” (2012, nr 37), iż Michał Tusk jest „szefem warszawskiego Okęcia”. Rzecznik prasowy lotniska w liście do redakcji poinformował spokojnie i rzeczowo, że Michał Tusk nigdy nie był zatrudniony, ani związany z tym lotniskiem, przy okazji nadmienił, że obecnie lotnisko nosi miano Chopina. Na co Jerzy Jachowicz odpowiedział w następujący sposób: „Szanowny Panie, publikujemy Pana sprostowanie, bo rzeczywiście poniosła mnie felietonowa ars poetica i mianowałem Michała Tuska dyrektorem warszawskiego lotniska. Tyle że dopiero w jakiejś bliżej nieokreślonej przyszłości. Będąc dla Pana pełen życzliwości, zastanawiam się, czy dobrze Pan zrobił, prostując moją nominację. Po pierwsze, nie jest znowu takie nierealne, że kiedyś Michał Tusk nie obejmie stanowiska szefa Lotniska Chopina w Warszawie, żeby użyć preferowanej przez Pana nazwy. Pewnie od dziś w jego pamięci niczym drzazga w oku zostanie swoistego rodzaju dyskryminacja jego osoby na eksponowanym miejscu w hierarchii lotniska, dokonanej przez Pana. Choć rozumiem Pana szlachetne pobudki rycerza walczącego za wszelką cenę o materialną prawdę. Chcę zwrócić uwagę, że

perspektywa wywołania tym sprostowaniem niekorzystnych dla Pana skojarzeń może być o wiele bliższa. Nie wiem bowiem, czy ministrowi Sławomirowi Nowakowi podoba się Pana postawa w stawianiu tamy przed możliwością zajęcia przez Michała Tuska tak ważnego, z punktu widzenia łączności Polski ze światem, miejsca. Z poważaniem, Jerzy Jachowicz”.

Funkcjonowała kiedyś jako żart odpowiedź na pytanie, co jest szczytem bezczelności. List Jerzego Jachowicza z tym żartem zwycięsko konkuruje.

W wywiadzie udzielonym „Odrze” (2012, nr 9, s. 8) Antoni Kroh mówi: „Jak powstała Politechnika Warszawska? Otóż Bolesław Prus w jednym z felietonów, który okazał się profetyczny, napisał, że nadchodzi wiek XX, kiedy narody i państwa nie będą konkurować o wielkość terytorium, o granice, ale zaczną się ścigać na umysły, nastąpi niebywały postęp techniczny. Jeżeli my, Polacy, nie włączymy się do tego wyścigu, przestaniemy się liczyć jako europejski naród. Władze carskie doskonale zrozumiały ten felieton i robiły wszystko, żeby uniemożliwić powstanie politechniki – utrudniały zbiórki, wstrzymały wszelkie dotacje. W roku 1896 przyjechał do Warszawy car i Prus wygłosił wiernopoddańczą mowę, po której Mikołaj II poczuł się zobowiązany do hojnego datku na budowę gmachu politechniki, co związało ręce i zamknęło usta miejscowym urzędnikom. Pół roku później, na Krakowskim Przedmieściu, gdzie dzisiaj stoi jego pomnik, studenci pobili Prusa za »zbyt służalcze przemówienie«. Może to zresztą legenda, zapamiętałem ją z wykładu w Studium Wiedzy o Warszawie, zorganizowanym przez Muzeum Historyczne – bo przecież nie ze szkoły”.

Wszystko razem to jedno wielkie bałamuctwo. Fundusze na politechnikę nie pochodziły z daru Mikołaja II, lecz ze składek publicznych z okazji jego pobytu w Warszawie. Prus nie był zwolennikiem przeznaczenia ich na budowę politechniki. Car był w Warszawie nie w r. 1896, lecz 1897; Prus żadnej wiernopoddańczej mowy nie wygłaszał. A studenci pobili go nie w r. 1897, lecz w r. 1878! Wystarczy sięgnąć do *Kalendarza życia i twórczości Prusa* w opracowaniu Krystyny Tokarzówny i Stanisława Fity, by wszystkie te dane znaleźć!

PDW w „Lampie” (2012, nr 9) słusznie zarzuca „Nowym Książkom”, że wskutek wprowadzenia papieru kredowego trudniej czytać ten miesięcznik. Ale

## CAMERA OBSCURA. REMANENT ZALEGŁOŚCI

kto to mówi? Redaktor najtrudniejszego do czytania polskiego pisma! Na krytykę zasługuje także upodobanie kolorowych tygodników do drukowania tekstów białą czcionką na czarnym tle. Zniechęca to wielu czytelników mających słaby wzrok.

Anna Żebrowska pisze w „Gazecie Wyborczej” (z 13–14 X 2012), że Bułhakow, począwszy od lat 30., był całkowicie przemilczany w ZSRR i „po raz pierwszy nazwisko jego publicznie wymienił Władimir Kławierin już po śmierci Stalina, na II Zjeździe Pisarzy Rosyjskich w r. 1954”. Mniejsza o to, że był to Zjazd Pisarzy Radzieckich, a nie Rosyjskich. Ważniejsze, że w r. 1936 była wystawiana w Moskwie sztuka Bułhakowa *Molier*, a w r. 1940 *Ostatnie dni*, i to w MCHacie. *Ostatnie dni* grano zresztą i w Warszawie w r. 1950, na pewno za zezwoleniem Moskwy.

Myli się Ludwik Stomma („Polityka” 2012, nr 40), twierdząc, że kult wiktorii wiedeńskiej zaczął się dopiero w XIX w. Książka Jerzego Ślizińskiego *Jan Sobieski w literaturze europejskiej* pokazuje, jak wiele pochwalnych relacji i utworów wierszowanych pojawiło się już wcześniej. Niecelna jest też uwaga, że „Sienkiewicz wolał skończyć trylogię na Chocimiu niż przeciągać ją do Wiednia, gdzie jego bohater broniłby znienawidzonych Germanów”. Nie przeszkadzałoby to Sienkiewiczowi. Wiktorię wiedeńską przecież zamierzał opisać w niedokończonyj powieści pod tytułem *Na polu chwały* z r. 1905.

Pomyłki w imionach są tak w prasie częste, że może nie warto na nie zwracać uwagi. Dziwi jednak, że w miesięczniku „Kraków” (2012, nr 9) w bardzo ciekawym zresztą artykule Jana Rogoża o placu Szczepańskim – dwukrotnie znany architekt Jan Zawiejski otrzymał imię Jerzy.

Źle informuje Paweł Smoleński („Gazeta Wyborcza” z 27–28 X 2012), pisząc, że na Cmentarzu Łyczakowskim leży „Iwan Franko – poeta, pisarz, uczyony z Uniwersytetu Lwowskiego”. Władze uniwersyteckie co prawda zamierzały powołać go na docenta przy katedrze literatury ruskiej, ale ostatecznie do tego nie doszło.

Małgorzata Szpakowska pisze („Wiadomości Literackie” *prawie dla wszystkich*, w.A.B., Warszawa 2012, s. 36), że dwudziestoosmiotomowa edycja *Pism* Boya „ukazywała się wprawdzie bardzo długo – od 1956

do 1975 roku – dzięki jej jednak cały dorobek Boya (co prawda z cięciami cenzury) jest od dawna dostępny w bibliotekach”. Uwagi autorki uszło, że w r. 1991 ukazał się t. XXIX, w którym wszystkie teksty uprzednio w całości lub w części pominięte – zostały restytuowane.

Z recenzji Andrzeja Horubały („Uważam Rze” z 29 X 4 XI 2012) dowiedzieć się można, że azjatyccy kulisownicy odgrywali ważną rolę w życiu państwa Wałęsów. Autor bowiem pisze tu, że Krystyna Janda w swym przedstawieniu zajmuje się m.in. „odkrywaniem kulisów prywatnego życia pierwszej pary III Rzeczypospolitej”.

Na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego w listopadzie prezydent Komorowski mówił: „[...] warto zbadać aspekt ewentualnego zewnętrznego czynnika działającego destrukcyjnie na społeczeństwo polskie w kontekście katastrofy smoleńskiej”. „Aspekt ewentualnego czynnika działającego w kontekście”? Litości nad mową polską!

W artykule *Wtórny antysemityzm* („Rzeczpospolita” z 30 XI 2012) Filip Memches nawołuje Polaków do uczciwego rachunku sumienia w sprawie stosunków polsko-żydowskich. Do tego słusznego wniosku prowadzi jednak łańcuch twierdzeń i rozumowań, z którymi trudno się zgodzić. Tak np. autor pisze, że w Jedwabnem dokonano zemsty „na tych, którzy słusznie lub niesłusznie uznani zostali za kolaborantów”. Rozumieć to można tylko w ten sposób, że wyszukiwano rzeczywistych czy rzekomych winowajców, a przecież żadnego wyszukiwania nie było – spalono wszystkich, których zagnano do stodoły, także na pewno niewinne kobiety i dzieci.

Memches twierdzi dalej, że „rola większości Polaków w jedwabnieńskiej zbrodni była bierna, ponieważ mord zainicjowali Niemcy”. Wnioskowanie kulawe – z tego, że inicjatorami (a raczej inspirowanymi) zbrodni byli Niemcy, wcale nie wynika bierność jej wykonawców. Sama zresztą konstrukcja „bierne dokonywanie zbrodni” jest absurdem. Warto przypomnieć, że postanowienie IPN mówi w tej kwestii jednoznacznie o „sprawstwie *sensu stricto* (bezpośrednim)”.

Pomylił się Stanisław Burkot („Kraków” 2012, nr 11, s. 50), utrzymując, że Kraszewski pisał gęsim piórem, podczas gdy Prus w tym samym czasie posłu-



giwał się maszyną do pisania. Kraszewski zmarł w r. 1887. Prus kupił maszynę do pisania w grudniu 1897.

Tadeusz Sobolewski pisze w „Gazecie na Święta” (30 X – 1 XI 2012), że m.in. Irena Eichlerówna i Halina Mikołajska wyszły z teatru Erwina Axera. Rozmija się z faktami. Eichlerówna zdobyła sławę aktorską już na kilka lat przed wybuchem wojny, głównie w teatrach Lwowa i Warszawy, a Mikołajska w Teatrze Współczesnym Axera pojawiła się dopiero w r. 1964.

Piotr Skwieciński („Rzeczpospolita” z 15 XI 2012) natrząsa się bezlitośnie z błędu historycznego, jaki popełnił Maciej Stuhr, mówiąc o dzieciach polskich przywiązanych jak tarcze w bitwie pod Cedynią (gdy tymczasem przywiązywali je Niemcy w bitwie pod Głogowem). Autor może byłby mniej napastliwy, gdyby przypomniał sobie błędy, jakie popełnili autorzy jego macierzystego organu „Uważam Rze”, np. że Mickiewicz w *Panu Tadeuszu* opiewał litewską wieś (Krzysztof Masłoń), w zamachu z r. 1881 zginął car Mikołaj II (Andrzej Ciesielski), Maciej Rataj był „znany działaczem PPS” (Piotr Gontarczyk).

Myli się Daniel Passent („Polityka” 2012, nr 46), pisząc, że Józef Chałasiński przetłumaczył na starość książkę Bronisława Malinowskiego o życiu seksualnym dzikich. Przekład ten (wykonany wspólnie z Andrzejem Waligórskim) ukazał się w r. 1938, gdy Chałasiński miał lat 34.

Tenże Passent („Polityka” 2012, nr 49): „Jeżeli mnie pamięć nie myli, to w powszechnej opinii Kałużyński cieszył się estymą i popularnością, jaka nie była (i dana nie jest) udziałem żadnego krytyka od czasów Boya i Irzykowskiego”. Dziwne, że w pamięci Passenta nie zachowały się nazwiska Kazimierza Wyki i Jana Kotta.

Tendencja do tworzenia osobnych nazw zawodów wykonywanych przez kobiety coraz bardziej się szerzy. Pojawiają się one nawet tam, gdzie stawia im silny opór materia językowa, zwłaszcza zbieg spółgłosek w zakończeniach wyrazów w formie męskiej. Przykład: „dramaturżka” w tekście Anny Kozioł w tymże numerze „Polityki”. Któż to potrafi wymówić?

Tadeusz Nyczek („Dialog” 2012, nr 11, s. 66), nawiązując do powiedzenia Jerzego Golińskiego, że

„na scenę nie powinno się wpuszczać dzieci, zwierząt i wariatów”, przytacza jako pierwszy znany mu przykład zwierzęcia na scenie kurę w *Kłątwie* Swinarskiego z r. 1968. Nyczek zastrzega się, że nie jest historykiem teatru, nie jest nim również Kamerzysta, ale zapamiętał, że w r. 1933 w inscenizacji *Księcia niezłomnego* na dziedzińcu wawelskim uczestniczyło 16 koni, które pewnego razu się zerwały i pogalowały do stajni. Pisał o tym Zygmunt Nowakowski w felietonie *Portugalia Osterwy czyli Calderon pod kopytami*. Przy okazji przypomnę, że w r. 1911 Solski reżyserując *Legion* Wyspiańskiego wprowadził na scenę krakowską parę koni, które ciągnąć miały rydwan Cezara. Już jednak w czasie próby generalnej „siwki dostały niedyspozycji, która przybrała wyraz niezmiernie plastyczny”.

Teolog Andrzej Sawicki („Gazeta Wyborcza” z 29 XI 2012), krytykując decyzję rektora Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, który nakazał zdjęcie krzyża z Sali Senatu i swojego gabinetu, argumentuje, że krzyż w takich miejscach umieszczany ma inne znaczenie niż ten z kościoła czy kapliczki. „Jego obecność winniśmy traktować w znaczeniu najszerszym, czyli jako symbol wartości przyświecających danej instytucji oraz wartości, do których dążą ludzie w niej przebywający”. Traktując dosłownie to sformułowanie, trzeba wyciągnąć z niego wniosek, że krzyż może (powinien?) znaleźć się w każdej instytucji, zostawmy jednak ten wątek. Przepraszam za ostre słowo, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że w tym wywodzie jest wieloraka hipokryzja. Autor gotów jest zdegradować znaczenie krzyża w miejscu publicznym z religijnego do kulturowego, byleby tylko krzyż wisiał, choć nie widać powodów, dlaczego teolog na obecność takiego krzyża tak usilnie nastaje. Po drugie – teolog wie przecież, że żadne „winniśmy” nie zmieni tego, że znakomita większość Polaków na dzień dzisiejszy traktuje krzyż, gdziekolwiek by się on pojawił, jako symbol religijny. A niektórzy może będą nawet interpretacją Sawickiego zgorzeleni.

Z recenzji Witolda Mrozika („Gazeta Wyborcza” z 29 XI 2012) można się dowiedzieć, że w spektaklu *Burzy* Szekspira w warszawskim Teatrze Polskim Prospero jest alkoholikiem w stadium delirycznym, Miranda jest głupiotką dziewczynką, która sączy piwo z puszki, Ariel „odlatuje w lekko hipopowe stylizację, coś tam...”. Taka *Burza* – zdaniem recenzenta – „jest sympatyczną propozycją

## CAMERA OBSCURA. REMANENT ZALEGŁOŚCI

dla bardziej zachowawczych teatromanów”. Ciekawe, co – zdaniem recenzenta – należałoby jeszcze w *Burzy* zmaltretować, by zadowolili mniej zachowawczych teatromanów?

Prof. Ewa Thompson twierdzi („Plus Minus” z 10–11 XI 2012), że w r. 2009 Ministerstwo Edukacji Narodowej zaproponowało, aby lektury obowiązkowe ograniczyć niemal całkowicie do tekstów Witolda Gombrowicza i Brunona Schulza! Niechże Pani Profesor wybaczy, ale jest to zmyślenie wyssane z palca!

Nie po raz pierwszy Bronisław Wildstein („Uważam Rze” z 5–11 XI 2012) deklaruje, że „naród jest najszerszą wspólnotą, z jaką potrafimy się zidentyfikować”. Autor – rzecz zdumiewająca – nie przyjmuje do wiadomości istnienia wielonarodowych wspólnot politycznych (Wspólnota Brytyjska, Stany Zjednoczone, Szwajcaria) i wielonarodowych wspólnot religijnych (Kościół katolicki, islam).

Jeszcze raz Wildstein. W „Uważam Rze” (z 19–25 XI 2012) atakował Tomasza Lisa jako redaktora „Newsweeka” za to, że okładka tego tygodnika przedstawiająca Zbigniewa Brzezińskiego wśród karłów z PiS-u naśladuje „do złudzenia” sławny plakat „AK – zapluty karzeł reakcji”. Jakoś Wildsteinowi nie przeszkadzało, że tytuł artykułu Anny Fotygi *Obudź się Polsko!* przypomina „do złudzenia” hitlerowskie hasło „Deutschland erwache!”.

Wojciech Lada („Uważam Rze” z 26 XI – 2 XII 2012) twierdzi, że *Lenin* Ferdynanda Ossendowskiego musiał Leninowi i jego następcom tego zależeć za skórę. Jeśli chodzi o Lenina – musiało to nastąpić w jego mauzoleum, bo Lenin zmarł w 1924 r., a książka ukazała się w r. 1930. A jego następcy mieli znacznie ważniejsze sprawy na głowie.

Daniel Arrasse nadał swej książce *Nie widać nic* pod tytuł *Opisy (descriptions) obrazów*. Polska tłumaczka Anna Arno zamieniła „opisy” na „opowiadanie”. Trudno się zgodzić z tak nonszalancką samowolą!

Nakładem wydawnictwa Copernicus Center Press ukazała się książka Michała Hellera *Filozofia przypadku*. I autor, i wydawnictwo zapomnieli chyba, że taki sam tytuł nosi głośne dzieło Stanisława Lema z r. 1968.

W numerze 1. dwutygodnika „Wsieci” Marta Kaczyńska oświadczyła: „Uważam, że dziś pytanie nie

brzmi czy doszło do zamachu, ale czy są jakieś dowody, że go nie było”. Gdyby Marta Kaczyńska i redaktorzy „Wsieci” zajrzeli do elementarnego podręcznika logiki, dowiedzielibyśmy się, że ciężar dowodu zawsze spoczywa na tym, kto twierdzi, nie na tym, kto przeczy.

Iwona Węgrzyn (*W świecie powieści Henryka Rzewuskiego*, WUJ, Kraków 2012, s. 294) wywodzi satyryczną nazwę „skotostan”, występującą w *Mieszaninach obyczajowych*, z greckiego słowa „skoto” – ciemny. Nic podobnego! Nazwa ta wiąże się ze słowem „skot” oznaczającym w staropolszczyźnie i jeszcze w XIX w. – bydło.

Podobnie Justyna Dąbrowska, nadając zbiorowi wywiadów tytuł *Spojrzenie wstecz*, zapomniała, że taki tytuł nosiły wspomnienia Jana Lorentowicza z r. 1935.

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska notuje w dzienniku pisanym w Blackpool w r. 1941: „Gdyby nie ucziwa dobroć Kotta i Hulewicza byłabym nędzarką”. Tak wygląda ten zapis w książce *Wojnę szatan spłodził. Zapiski 1939–1945*, opracowanej przez Rafała Podrazę (Agora, Warszawa 2012, s. 56). Można podejrzewać, że w autografie było tylko jedno „t”. Ale jeśli zostało omyłkowo przez poetkę podwojone, wydawca powinien wiedzieć, że to błąd. Chodzi tu oczywiście o prof. Stanisława Kota, wówczas członka rządu londyńskiego, a nie o Jana Kotta, który przebywał wówczas w Warszawie.

W obszernym szkicu o braciach Zbyszewskich („Plus Minus” z 8–10 XII 2012) Marcin Furdyna, wymieniając tytuły czasopism, z którymi Waław przed wojną współpracował, pomija to, w którym pisał najwięcej – „Prosto z mostu” (być może dlatego, że nie figuruje ono w Wikipedii). Zamieszczał tam felietony *Szczotką ryżową*, gdzie znajdowały się czasem opinie paskudne. Bez komentarza pozostawia autor pomyłkę emigracyjnego prokuratora wojskowego i samego Waława, którzy przypisali Mickiewiczowi sentencję o złym ptaku, co kała własne gniazdo. Jest to łacińskie przysłowie średniowieczne, w polskiej wersji odnotowane już w w. XVII. Obu panom najwidoczniej pomyliło się to przysłowie z jego zaprzeczeniem, a Mickiewicz z Norwidem, który to zaprzeczenie utworzył: „Czy ten ptak kała gniazdo, co je kała / Czy ten, co mówi o tym nie pozwala?”.

Na narodowej prawicy nastała moda na mesjanizm. Neomesjaniści skupieni wokół pisma „Czterdzieści i cztery” uważają, że jest to oczekiwanie na ponowne przyście Chrystusa. Filip Memches („Plus Minus” z 8–9 XII 2012), że jest to „uniwersalny sposób interpretowania rzeczywistości, który pozostaje aktualny w każdym miejscu i w każdym czasie. Wyrasta on bowiem z chrześcijaństwa. A to adresowane jest do każdego człowieka”. Z kolei Paweł Rojek (tamże) głosi, że istniał swoisty polski mesjanizm, który był „programem przebudowy kulturowej, społecznej i politycznej Polski i świata”. Jedno z drugim i trzecim się nie zgadza, a jedno, drugie i trzecie jest mętne.

Pro domo nostra. Jacek Błach, zazwyczaj arcyskrupulatny, także się w końcu pomylił. W „Dekadzie” (2012, nr 3/4, s. 195) przypisał wierszyk o Kame-

rzyście, napisany przez Witolda Turdę – innemu W.T., a mianowicie Waławowi Twardzikowi. Jak napisała kiedyś prof. Walas: do Camery każdy albo już trafił, albo kiedyś trafi.

Dla pokrzepienia serc: „Jeśli »pedagogiką wstydu« nazwać krytykowanie popełnionych w przeszłości błędów oraz weryfikowanie patriotycznych stereotypów, to za jej klasyków uznać trzeba Mochnackiego, Dmowskiego, Piłsudskiego, Brzozowskiego, »Cata« Mackiewicza, praktycznie wszystkich, którzy mieli ambicje dzieje ojczyzny poważnie analizować, a nie tylko wycinać z nich tematy do budujących czytanek”. Napisał to – o dziwo! – Rafał A. Ziemiakiewicz – w „Uważam Rze” (z 24–30 IX 2012), piśmie skądinąd nieustannie oskarżającym prasę lewicowo-liberalną o uprawianie „pedagogiki wstydu”.

**hm**

12 MARCA 2013 ROKU ZMARŁ W KRAKOWIE  
**MAREK SKWARNICKI**

POETA O BOGATYM I CENIONYM DOROBKU, PROZAIK, ESEISTA, TŁUMACZ,  
FELIETONISTA, PODPISUJĄCY SWOJE FELIETONY, KTÓRE PRZESZŁY  
JUŻ DO HISTORII „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”, JAKO SPODEK.  
AUTOR KSIĄŻEK WSPOMNIENIOWYCH I DZIENNIKÓW,  
A TAKŻE BIOGRAFII, Z KTÓRYCH NAJBARDZIEJ ZNANA I NAJWYŻEJ  
OCENIANA BYŁA BIOGRAFIA JANA PAWŁA II.  
WIELOLETNI REDAKTOR „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”,  
CZŁONEK ZAŁOŻYCIEL STOWARZYSZENIA PISARZY POLSKICH,  
A NA POCZĄTKU LAT 80. WICEPREZES KRAKOWSKIEGO ODDZIAŁU ZLP.  
WICEPREZES RADY MIĘDZYNARODOWEGO RUCHU  
INTELEKTUALISTÓW KATOLICKICH „PAX ROMANA”.  
LAUREAT NAGRODY KOŚCIELSKICH, BURS, Y,  
NELLI I WŁADYSŁAWA TURZAŃSKICH Z TORONTO.

RODZINIE I PRZYJACIOŁOM  
SKŁADAMY WYRAZY GŁĘBOKIEGO WSPÓŁCZUCIA  
KOLEŻANKI I KOLEDZY Z „DEKADY”